

Craveheart

Wieczór kawalerski to wieczór jedyny w swoim rodzaju. Niezapomniany. Mój zawsze taki będzie. Choćby dlatego, że wszyscy mieliśmy na sobie kilty. Tylko kilty.



Szkoci w zbożu polskim

Na początku był *Rob Roy*.

Bardzo dobry film.

Pamiętam, że obejrzałem go pierwszy. Potem, jakoś wkrótce potem, poszedłem do kina na *Braveheart*.

Po filmie bolało mnie wszystko od krtani w górę. Cena za utrzymanie spiżowych rysów.

Niełatwe, bo w filmie *Braveheart* jest kilka scen, które najtwardszych z twardych ścinają.

Po prostu tną toporem po łydkach i człowiek się osuwa na kolana.

Pamiętacie ten film niezwykły? Pierwsza z tych scen: mała dziewczynka podchodzi z kwiatkiem do Williama Wallace'a, który stracił ojca...

No dobrze, nie popadamy w rozczulenie. Nie taki jest plan.

Wkrótce potem przyszedł do mnie mój przyjaciel Jarek, mieszkający w sąsiednim bloku. Był wzruszony, bo właśnie obejrzał na video *Rob Roya*.

- Jeśli *Braveheart* jest równie dobry, to ja chcę go obejrzeć w kinie - rzekł.

I wtedy wypowiedziałem słowa, za które Mel Gibson do dziś mi nie zapłacił:

- *Rob Roy* to namiastka *Braveheart*.

Historia Szkotów, choć nieco wyidealizowana, wpłynęła nam obydwu do serc na trwałe. Muzyka Hornera również. W pobliskim lesie krzyżowałem z przyjacielem rękawice, a muzyka z *Braveheart* była tam z nami, dzięki wypożyczonemu magnetofonowi, i podwajała wysiłki.

Może i potrajała.

Słowo *Celtowie* zaczęło padać z naszych ust znacznie częściej niż *Słowianie*. Zawsze w znakomitym znaczeniu.

Jakieś dziesięć lat później nastał mój wieczór kawalerski. Tak, panowie, wszystko jasne. Tego się nigdy nie zapomni.

Ot, czas magiczny, czas przełomu. Emocje jedyne w swoim rodzaju, czyż nie?

Patrzysz na lewo: brat kamracki, drużyna, którą zbierałeś - czy też ona się tobie zbierała - pół życia... Patrzysz na

prawo: narzeczona (chwilowo niewidoczna). Twoja Aaricia. Valeria. MIŁOŚĆ.
I to jest to głębokie zanurzenie we władzy nad życiem i odczuwaniem świata.
Bardzo głębokie. Batyskafy wysiadają. Rozgniata je ciśnienie. A ty nurkujesz głębiej...
Wieczór kawalerski.
Przybyliśmy na niego Szkotami.
Takie nasze szczęśliwe *Braveheart*.
Zasada była prosta. Ubieramy kilty.
Wyłącznie kilty.
To nurtujące, jak wiele dziewcząt pytało, czy jest pod nimi coś jakby bielizna.
Czy Szkoci noszą bieliznę?! Proszę nas z Albionami, mistrzami pończoch, nie mylić.
Po kilku stuknięciach dla krwi rozgrzania zaczęło się malowanie twarzy. Niezwykle silny rytuał.
Potrafię w pełni dziś pojąć męstwo bojowe Celtów – to jest: szaleństwo – bo wiem już, jak wpływa na ducha wymalowanie twarzy w barwy wojenne.
Nagle staliśmy się wszyscy Szkotami pod Stirling. Łowcami Anglików.
Po jakiejś godzinie rozgrzewki – niby niekoniecznej, bo upał był – ruszyliśmy w dziwny obchód. Dziwny – bo, jak powiedziałem, staliśmy się wojownikami Wallace'a. Niektórzy maszerowali z twarzą posępną. Inni z całkiem zuchwałą, nonszalancką, sypiąc niekoniecznie salonowymi żartami w stylu wczesnoszkockim.
Takim, jak gaz donośnie wypuszczony, kwitowany salwą donośnego śmiechu.
Bardzo wczesnoszkockie żarty.
I zupełnie niedyskretne. Na to święto moje kawalerskie wybraliśmy tramp drewniany nad brzegiem jeziora. Wokół, na zadrzewionych pagórkach i przy schodkach wiodących w dół, do plaży, mnóstwo było innych trampów. Tuzin Celtów schodzących do jeziora szybko zwrócił uwagę.
Widzów przybywało. Niektórzy okazali odwagę, na przykład pewien mężczyzna, który szybko wydobyl kamerę. Jego pech polegał na tym, że ściągnął uwagę Bergola.
Bergol jest specyficznym kamratem. To taki templariusz, który ubezpiecza najbardziej beznadziejne tyły. Ostatni schodzi z pola bitwy, o ile w ogóle.
Bo woli wkraczać.
I delectować to pole.
On wczuł się w Szkota posępnego.
A tak w ogóle to zawsze był podobny goblinowi.
I z postury, i z siły, i innych spraw...
I ze spojrzenia, którym obrzucił pana z kamerą.
Pan błyskawicznie zniknął w trampie.
Gdy znaleźliśmy się na plaży, poruszenie było oczywiste. Ci, którzy zwracali się z prośbą o zdjęcie do Szkotów Nieposepnych, osiągnęli satysfakcję.
Było upalnie, beztrzesko i pięknie.
Po tym pierwszym przemarszu, który pokazał, że Szkoci przejmują polski pas brzegowy, kontynuowaliśmy rozgrzewkę. Piliśmy piwo, wódkę, jedliśmy kiełbasę.
I nabieraliśmy apetytu na Albionów.
Może i dobrze, że żaden angielski turysta nie zbłądził owego popołudnia nad jeziora pod Gniezmem.
W nocy nastąpił wymarsz ostateczny, na dyskotekę pod nocnym niebem, w pobliskiej wsi. Pewien jestem, że niebo to, a i wieś pewnie, nie zapomniały tego marszu tuzina naenergetyzowanych Celtów, którzy szli niczym na wyprawę wojenną, przez zboża polskie, grzmiąc:
- Albiony! Albiony!! Gdzie-są-Albiony!!!
Mimo że jupitera oświetlające plac zabawy nocnej, niekoniecznie przewyższały mocą reflektory ursusa C-360, nasze wejście nie zostało przegapione. Didżej oficjalnie nas powitał.
Być może był to bardzo zmyślny akt dyplomacji.
W końcu intencje przybyszy o niebiesko umalowanych twarzach nie musiały być zupełnie jasne.
A przybysze zaczęli się bawić. Tańczyć, wałęsać się, pić.
Rozglądać za Anglikami.
Pod sklepikiem dostarczającym trunku Bergol, ów celtycko-słowiański goblin, wdał się w radosne zapasy z innym kamratem. Pozwoliło to licznym, wyraźnie rozbawionym świadkom, przekonać się w pełni, że Szkoci pod kiltami nic krępującego radości życia nie noszą.
I tylko jedno mnie zawsze, i zresztą przyjaciela mego Jarka, tego od boksu leśnego, frapowało.
Jak to można podchodzić do goblina z pytaniami pozbawionymi rozsądku?
A co z instynktem samozachowawczym?..
Oto bowiem, pod tym samym sklepikiem, do Bergola podtoczył się niziołkowej postury imprezowicz, z pokalem w dłoni. Na Bergola też skierowała się jego radosna, cokolwiek satyryczna mordka.

- Czy panowie jesteście może kibicami Lecha? - padło pytanie.
Kibicami Lecha.
My. Celtowie.
Chłopaki Williama.
Łowcy Albionów.
Sierpowy był dynamiczny.
Dynamika Bergola zasługuje na osobny artykuł.
Wygrałby pośród innych goblinów wyścigi z balem cedrowym na plecach.
Gdybyż tylko nie wyginęły.
Niziołek odkopyrtnął się w mroki nocy wraz ze swoim horrendalnie fauxpasowym pytaniem.
- Nie jesteśmy żadnymi, *&^%\$#, kibicami – warknął rozeźlony Bergol.
Zabawa toczyła się dalej.
I tak, stopniowo, Celtowie rozdzielali się. Niektórzy udawali się na samotne łowy...
Niekoniecznie na Anglików.
Inni, nie mniej samotnie, tańczyli w szczęśliwym transie, jak na przykład ja.
Jeszcze inni błąkali się po polach i lasach, kontemplując jedyną w swoim rodzaju metamorfozę.
Tuż przed świtem pierwsi Celtowie zaczęli schodzić się na kwaterze. Grill był jeszcze ciepły, a posiłek rzecz ważna.
Zwłaszcza po obławie na Albionów.
Nawet, jeśli bezowocnej.
Rankiem drużyna była już w komplecie. Żaden Szkot nie został napadnięty, ni z kiltu obrabowany.
To było nasze Stirling. Magiczna noc...

*

Na zdjęciu powyżej znajdziecie mnie, mojego przyjaciela Jarka... no i Bergola. Jego powinniście rozpoznać. Tak myślę.

Mieliśmy tylko jednego goblina w drużynie.

Przy okazji tych wspomnień postanowiłem ujawnić Wam wstydliwie skrywaną tajemnicę klęski wojsk Williama Wallace'a pod Falkirk, w roku 1298. Niektórzy historycy twierdzą, że przyczyną klęski Szkotów był łuk angielski.

Ściślej: mroczną sławą okryty długi łuk angielski (longbow).

I ci historycy mówią wprost: dzielnych Celtów rozstrzelano.

Inni przebąkują coś o braku odwagi i zdradzie szlachty...

Też coś. Brak odwagi... Poczytajcie, jak to było naprawdę.

Tylko nie konsultujcie sprawy ze znajomymi Szkotami.

Absolutnie.



Craveheart

Szkoci przestępowali niecierpliwie z nogi na nogę. Niektórzy zresztą z nogi na rękę, co robiło złe wrażenie braku dyscypliny w szeregach. Ale też plotki roznoszone w tych szeregach nie stymulowały zimnej krwi. Ponoć pod Stirling, gdzie dali tak pięknego łupnia Anglikom – jakoby stu bardów francuskich uwieczniło to pieśniami – wcale nie powiódł ich do bitwy William Wallace, tylko jego sobowtór.

Jakiś głupek wioskowy.

Tak głupi, i tak wioskowy, że zgodził się odegrać Williama za trzy kozy i dwa snopy trawy skoszonej.

A czemu sam Wallace nie raczył nosa wystawić przeciw Anglikom? Ano nie był pewien wyniku bitwy. Przeworność lidera. Trzeba zrozumieć.

Ale zmieszanie było niemałe.

A głupek wioskowy bardzo wczuł się w rolę. Za bardzo. Zagrzał Szkotów, porwał do natarcia, zmiażdżył wrogów. I chciał już zostać tym Wallace'm.

A ponieważ się upierał, wieczorem po zwycięstwie, gdzieś na uboczu, towarzysze Williama zatłukli go kijami.

Padł zmasakrowaną twarzą w rekonstrukcję Londynu, którą usypał ze słomek. Plan przewidywał atak pozorowany na miasto króla Długonogiego – od wschodu armią kobiet, od zachodu armią owiec.

I dopiero po chwili prawdziwy szturm piechoty szkockiej.

Od morza.

Głupek padł, a plan padł wraz z nim.

Co tu o Londynie, gdy walki wciąż na ziemi Celtów... Pod Falkirk szykowały się kolejne baty nauczycielskie dla anglosaskiego, psiakrew, żołdactwa.

Aczkolwiek mrowie tego żołdactwa wywarło na Szkotach – rozglądających się za prawdziwym Williamem – pewne wrażenie.

- Lepiej wracajmy do domu! - zawołał ktoś odważnie.

Wiwatom nie było końca.

- Tak! Uciekajmy! - rozległ się radosny okrzyk Duncana Mac Duffa, jednego z dowódców schiltronów, najeżonych włóczniami (podejrzanie podobnych do gałęzi) czworoboków piechoty.

Schiltrony wymyślił William Wallace. Anglicy nazwali je z przedszkolną bezradnością Jeżami, Co Nas Wykłuły.

Wersja dla Edwarda Długonogiego brzmiała: Jeżami, Co Nas Wykłuły, Panie.

Przy czym nikt złożenia takiego raportu nie przetrwał, bo król Anglii nie pobrażał klęsce i słabościom.

Niczemu zresztą nie pobrażał.

I zdaje się, że schiltrony wymyślił głupek wioskowy...

Pod Falkirk, gdzie Jeży głodnych angielskiej jazdy było już całkiem sporo, miał przybyć prawdziwy Wallace.

Wypatrywano go z napięciem i tęsknotą, bo im bardziej był nieobecny, tym większe sukcesy odnosił.

Jak to, szczerząc 47% zębów, orzekł dowcipnie dowódca jazdy, John "Rudy" Comyn.

Wedle tej logiki, przybycie Wallace'a na pole walki musiało raczej wieść do klęski, a nie kolejnego triumfu, nikt jednak nie zaprzętał sobie głowy logiką. Nie leżało to w szkockim obyczaju.

W tymże obyczaju leżało z kolei poczucie szczęścia, a nic tak nie czyni Szkotami szczęśliwymi jak popadanie w obłąd.

„Rudy” Comyn, który 53% zębów zostawił pod Stirling, też był już w całkiem szczęśliwym obłądzeniu.

Zawsze weń wpadał. Przy okazji każdej walki. To pozwalało zmieniać się w niebieskiego diabła, a niebieskie diabły wygrywają bitwy.

Albo zostawiają 53% zębów w zbrojach angielskich.

Póki co, Wallace był nieobecny, co budziło w armii Anglii mieszane uczucia. Bo Wallace nieobecny to Wallace zwycięski. A obecny? Może nie. Może jeszcze bardziej?

To mogło oznaczać 15 000 niebieskich diabłów rozgryzających zbroje na powalonych najeźdźcach.

By okrzyki o powrocie do domu nie powiodły do rzeczywistych odmarszów, „Rudy” Comyn rozsyłał żarty za pomocą gońców.

- Anglicy są dziś osłabieni! Dlaczego?... Irlandczycy walczą po ich stronie! Pffhahahahahahahihihihihuuuu!...

Gońcy dokładnie przekazywali żart, także ów obłądny śmiech, który miał dla morale Celtów znaczenie wysoce balsamiczne.

Aż przybył wreszcie sam William Wallace.

Ledwo zdążył, bo mimo wysiłków Comyna, 10% żołnierzy zawróciło już do domu, „gdzie się można potłuc naprawdę, z żoną czy z koniem, a nie godzinami trzepotać rżęsami do Anglików, do licha i cholery.”

Plotki o przełożeniu bitwy pod Falkirk były już rzeczywiście żywe, a podany powód – przelot meteoru nad katedrą w Kolonii – brzmiał dla Szkotów całkiem do rzeczy.

Wierzchowiec Williama był sponiewierany, ale malunek na twarzy lidera zrobił wrażenie. Cała była niebieska, przy czym na ustach dało się zauważyć czerwony krzyż.

- Ten krzyż złożę na ustach Edwarda! - zapowiedział radośnie.

- A ty kto! - zawołał dowódca Jeża, Duncan Mac Duff.

Mac Duff, który pod Stirling zostawił 78% zębów, rozpoznał Wallace'a i ów okrzyk wyzywający był tylko zwyczajnym, polowym żartem z jego strony. W otoczeniu natomiast odebrano to różnie.

Na przykład dowodzący innym schiltronem John Grahame z Dundalff zdenerwował się i rzucił głazem. Czaszka konia Williama była po tym całkiem do niczego.

Sam Wallace wpadł w błoto, czym się jednak w widoczny sposób nie przejął. Może dlatego, że kiedy się podniósł, i tak był czystszy niż połowa szlachty szkockiej.

- Kto ty!! - podchwycił do reszty rozbawiony „Rudy” Comyn.

I znów niepotrzebnie. Owszem, zaśmiał się ten i ów, lecz wielu obrzuciło lidera podejrzliwym, niegościnnym wzrokiem.

- JESTEM WILLIAM WALLACE, WOJOWNIK SZKOCJI, WRÓG ANGLII!

Okrzyk był pełen pasji – po policzku Comyna spłynęła łza.

Ale nieufność w szeregach wciąż była znaczna.

- William Wallace ma dwie pary oczu!

- A z pleców wyrastają mu miecze!

- Yyu Immnk fiuęęę uukkoiiuuyyy eytuł! („Krowy niewydojone, martwi mnie to, martwi, martwi, rolmopsy” - oczywiście głupków wioskowych nie brakowało w ochotniczej armii szkockiej, tak samo jak w angielskiej).

- William jest z drewna!

- Jest Anglikiem!!

Wallace pokręcił głową, wytrzeszczając niebieskie oczy.

Zazwyczaj miał szare, ale trochę zapędził się z farbą.

Porównanie do Anglików trochę go zdenerwowało. Oni nosili pończochy, na Boga.

Wszystkiemu winna propaganda Długonogiego – pomyślał posepnie, sięgając za plecy po miecz. Sekundę później jeden z całkiem blisko stojących Szkotów rozjechał się na dwie zgrabne połówki, nikt jednak tego nawet nie zauważył. Podniecenie bitwą przesłaniało nieistotne incydenty.

Wallace ze zdumieniem przyjrzał się krwi spływającej z miecza, lecz nie próbował dociekać jej pochodzenia. Dopóki nie czuł bólu we własnych plecach, oznaczało to, że nikt ważny dla kraju nie padł.

- Synowie Szkocji!! - ryknął z patosem.

Nie wszystkich porwał ten ryk.

- O co ci chodzi? - zapytał życzliwie siwobrody wojownik. Pokryty siecią licznych prastarych szram i całkiem świeżych nacięć, sprawiał wrażenie trędowatego, co nierzadko onieśmiało przeciwników podczas walki.

Gruchnął swobodny śmiech. „Rudy” Comyn spadł nawet z konia. Nim się pozbierał, dowcipni piechurzy wymierzili mu serdeczne kopniaki w głowę, po których nie od razu doszedł do siebie.

- Walczymy z Indochinami? - upewnił się, dosiadłszy konia tyłem. Potem rozłożył sobie ogon koński na całej twarzy i cichutko mruczał: - Huhuhuhuhu...

Wallace westchnął ciężko. To była tak dzielna armia... Tak bardzo dzielna...

Kiedy już zdołało się nakłonić ją do biegu na wprost.

Nieoczywista sztuka.

- Dziś możemy walczyć za wolność Szkocji! - zawołał gromko.

- Nie chcę umierać za szlachtę, co palcem nie kiwnie! - zirytował się jeden z wólczników.

- Sam jesteś szlachcicem – przypomniał mu towarzysz z schiltronu.

- Aha.

- Dziś możemy walczyć za naszą ziemię piękną i dumną! - krzyczał Wallace.

- Aha.

- Czyż nie jest to doniosłe?!

- No... nie bardzo - wybąkał jakiś młokos, wstydliwie kryjąc twarz za ostrzem topora.

- Dobra! Powiem wam coś teraz! - Na twarzy lidera pojawiła się najwyższa determinacja. - Coś wam teraz powiem, a świat zapamięta te słowa.

Zapadła cisza. Nawet szemranie po angielskiej stronie ucichło.

Napięcie było oczywiste.

Wallace zmarszczył brwi, zastanawiając się co powiedzieć, by spełnić oczekiwania.

Następny głaz mógł poszybować już w jego czaszkę.

Szkoci byli serdeczni, ale jeśli uznaliby go za głupka wioskowego...

- No? - ponaglił grzecznie dowódca schiltronu, Duncan Mac Duff.

Niezbyt uśmiechnięty.

Wallace spojrział w niebo, a ono zesłało pozłocenie na jego błękitne oblicze.

- Każdy człowiek umiera. Nie każdy żyje naprawdę – rzekł cicho.

Jest nieodgadnioną zagadką mistyczną, dlatego bywa, że głos cichy jest czasem tak bardzo donośny. Panowało milczenie.

Po twarzy dowodzącego jazdą Comyna znów spłynęła łza.

- Dotarliśmy do Indochin - wyszeptał z nabożeństwem.

Wallace patrzył w niebo, nieruchomy jak posąg.

Po chwili Mac Duff chrząknął. A John Grahame z Dundalff zapytał z ociąganiem:

- Ale co by to... Czy to po walijsku coś... Czy...

Wallace prędko oderwał wzrok od nieba i potoczył nim po towarzyszach. Wszyscy patrzyli na niego głęboko zafrapowani. No tak. Przemówił jak taki lord pończoszniczy. Górnolotnie, sztywno. Nikt nie rozumiał.

Zafrapowanie sprowadza lęki, a lęki... Dało się zauważyć, że kilku Szkotów dyskretnie - ale nie aż tak znów bardzo dyskretnie - skierowało na niego łuki i włócznie.

- Żartowałem! - wyrzucił, uderzając dłońmi w uda i szczerząc zęby.

Twarze Szkotów odprężyły się natychmiast.

- A tak naprawdę chciałeś powiedzieć...? - uśmiechnął się życzliwie Mac Duff.

- Eeuueeeę uuuuuuuuuyffffhhiiiiuuu ęuujjiiiiooyy!!

Zapanował rwetes bojowy. Wzruszenie, radosny śmiech i porwanie Celtów do walki były już poza dyskusją.

Także dla króla Edwarda, który wykrzywił twarz z pogardą, spojrział na dowódców i wymruczał:

- Będą walczyć. *Archers* do przodu.

Szkoci wiwatowali. Kilkudziesięciu roztańczyło się nawet, co było naturalnym, trudnym do stłumienia odruchem, gdy miało się na sobie kilty.

Tumult przywrócił już nieomal pełną przytomność dowódcy kawalerii szkockiej. John „Rudy” Comyn wyciągnął miecz i z najwyższą surowością popatrzył ku chorągwiom angielskim.

- „Euuueeeę uuuuuuuuuyffffhhiiiiuuu ęuujjiiiiooyy” - powtórzył twardo. - Świat zapamięta te słowa. Długonogi zapamięta Falkirk.

Wallace'owi podprowadzono konia. Gdy go dosiadał, zbliżył się Duncan Mac Duff.

- Dobrze ci to poszło, Williamie - pochwalił z powagą. - Nie liczyłem, że utrzymamy w polu więcej, niż 60% piechoty.

Mi zwykle rozchodzi się do domów połowa. I kolejne 25% w trakcie walki. - Przeniósł zmrużone oczy ku liniom nieprzyjaciela i dodał: - Będą strzelać zaraz. Wystawili 1000 łuczników.

Wallace poszedł za jego wzrokiem.

- Będą, ale nie od razu - wymruczał. - Dyplomatów podsyłają.

- Pojedźmy ku nim zatem - wyszczerzył zęby Mac Duff.

Rozmowy przed walką były już tylko czystą formalnością, rodzajem ozdobnej amfory na krew, która musiała być przelana. W rzeczy samej królowi Edwardowi chodziło o upokorzenie „plebejuszy, gnomów i owczarków”, jak to uczciwie wyraził. Natomiast Szkotom... Cóż, Szkoci nie omieszkali wykorzystać każdej okazji, by objawić swoje cechy narodowe.

Takie jak radosny obłęd i inne podobne.

Dokładnie na środku, między liniami wojsk, spotkali się dyplomaci Szkocji i Anglii. Króla Edwarda reprezentowali marszałek Anglii i hrabia Lincoln - Henry de Lacy, hrabiowie Norfolk i Hereford, oraz bardzo wysoko zadzierający potrójny podbródek biskup Durham, Anthony Beck.

Wallace też zebrał elitarnych dyplomatów. Oprócz Mac Duffa, na rozmowy z Anglikami wybrali się

„Rudy” Comyn i - trzeba to, niestety, ujawnić - głupek wioskowy Fearghas.

Anglicy dotarli na środek pierwsi. Szkotom nie spieszyło się aż tak bardzo. Dwukrotnie zawracali ku szeregom swych wojsk, bo ścierał ich radosny taniec kamratów. Gdy w końcu dotarli, miny dyplomatów Edwarda wyrażały upokorzenie i odrazę..

- Brak ogłady - wyrwało się z ust marszałka Anglii, de Lacy'ego. Jego twarz była czerwona jak piwonias.

Nim Wallace zdołał skwitować ten zarzut stosownym żartem, „Rudy” Comyn rzekł przeproszająco:

- Nie wińcie nas za konstytucję Indochin.

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Ze strony angielskiej. Bo chichot delegacji Wallace'a był swobodny i jeśli nie gwałcił konstytucji Indochin, to kodeks brytyjskiej dyplomacji już z pewnością.

Odniesienie się do słów dowódcy jazdy szkockiej przerosło siły Anglików.

Może dlatego, że wciąż siedział tyłem na koniu i wyraźnie bimbał na kontakt wzrokowy z rozmówcami.

O ile machał do wiwatujących, roztańczonych szeregów rodaków, o tyle w kierunku postów Edwarda posyłał całkiem sporo gazów.

Zupełnie głośno.

Teraz nie tylko marszałek był purpurowy. A biskupowi przybył czwarty podbródek.

- Jesteśmy postami od króla Anglii i Walii - wycedził drżącym głosem ten drugi. - Obecność króla na tej ziemi wymaga szacunku i pokory.

- Tak? - rozszerzył zalane farbą oczy Wallace. - To niech się klania pokornie naszym krowom i owcom, może którąś

uwiedzie.

Duncan Mac Duff, który rozumiał względnie normy dyplomacji, postanowił za wszelką cenę zdławić falę śmiechu, zanim opuści krtań.

Co się udało, ale cena rzeczywiście jakaś była.

Twarz dowódcy Jeża usmarczyła się z niewytłumaczalną obfitością. Tuzin owiec nie powstydziliby się tego usmarczenia.

Jeśli nie turów.

Tymczasem jednak skupiło się ono na jednej twarzy. Mac Duff jednak, albo miał nerwy ze stali, albo w istocie wrodzony talent dyplomatyczny, bo mimo dundli, które zwisały z jego szczęki niczym stalaktyty, zachował oblicze idealnie kamienne. Jego oczy patrzyły na Anglików z niezachwianą powagą, a nawet zafrapowaniem, jakby dumą nad przyczynami tej całej waśni między Anglią, a Szkocją.

Posłowie Edwarda popatrzyli na siebie bezradnie.

- Dzi... - zaczął marszałek de Lacy, ale urwał z wysiłkiem.

- Ukorzcie się w imię Boga - wykrztusił drżącym głosem biskup Durham.

Patrzył przy tym pod kopyta swego konia, bo groziło utratą wiary w stworzenie boskie przyglądanie się dostojnikom szkockim, z których jeden siedział tyłem na koniu i wyraźnie nie miał świadomości procesu gazowniczego, drugi ledwo patrzył przez zamalowane oczy, trzeci szczyrzył z zadumą 22% zębów, a czwarty przybiegł na własnych szpotawych nogach i właśnie robił coś w kuckach, a czego nawet owcom na polu walki nie wypadało robić.

W zasadzie to robił kilka takich owczych czynności jednocześnie.

Anglicy byli już trochę spoceni.

Nie przeoczyli też krwi na mieczu Williama.

- Oto warunki króla - przełamał niezręczną ciszę marszałek de Lacy. - Pan Wysp obiecuje ustąpić z wojskiem, jeśli strona szkocka przyjmie te oto polubowne warunki:

1. William Wallace złoży broń i wstąpi do klasztoru w Jorku, gdzie będzie modlił się w dybach i z łańcuchem obwiązany wokół pasa i nóg przez lat 45. Po tym czasie zostanie zwolniony z obowiązku służby Panu i będzie mógł ubiegać się o stanowisko dobosza w armii Albionu.
2. Wszyscy żołnierze Szkocji zebrani pod Falkirk złożą broń i przysięgą wierności królowi Anglii, po czym będą mogli odejść w pokoju do swoich domów.
3. Wszyscy dowódcy szkockiego wojska obecni pod Falkirk złożą pod topór swe dłonie, stopy i nosy jako obietnicę lojalności wobec króla Anglii. Po tym zaprzysiężeniu będą mogli odejść bezpiecznie do swych domów.
4. Edynburg zostanie spacyfikowany, spalony, zburzony do piwnic i ukarany zarazą w postaci podrzuconych trędowatych z królestwa Anglii. Po tym czasie na miejscu miasta założone zostaną dla Edwarda sady wiśniowe i jabłkowe jako gest przeprosin i dziękczynienia za okazane łaski.
5. Prawo pierwszej nocy zostanie rozciągnięte do prawa pierwszego tygodnia. Dla córek szlacheckich do pierwszego miesiąca.

Zapadła cisza. Przerzywały ją tylko gazy „Rudego” Comyna, który znów zatapiał twarz w końskim ogonie i nucił coś w szczęśliwym odprężeniu. William i Mac Duff spojrzeli po sobie z łagodną zadumą.

- I cóż powiesz o takich warunkach, mój towarzyszu? - spytał lider, kryjąc uśmiech.

- To wyjątkowy akt przyjaźni. Z pewnością tylko głupiec odrzuciłby wyciągniętą w szczodrości dłoń. Jestem pewien, że mieszkańcy Edynburga urządzą festiwal upojeni darami i protekcją króla Edwarda.

Wódz Szkotów roześmiał się serdecznie.

- Oj, niewątpliwie, niewątpliwie! - Przeniósł rozpromienione mimo farby oczy na marszałka. - Tak, jak zauważył Duncan Mac Duff, tylko głupiec odrzuciłby tak szczodre warunki... Dlatego przyjmujemy je.

- Prz... - de Lucy wytrzeszczył oczy wstrząśnięty i obejrzał się odruchowo za siebie.

- Oczywiście - rozłożył ręce Wallace. - Przecież po to owe warunki spisano, czyż nie? Według woli króla Anglii?

- Yhmmbł - potwierdził marszałek z zakłopotaniem.

Hrabia Herford pospieszył mu ze wsparciem:

- Wallace kpi z pewnością! Te warunki są nie do przyjęcia!

- O - William uniósł brwi w kpiącym wyrazie. - A więc sami dyplomaci przyznają, że ich oferta tyle jest warta, co puklerz, do którego wół narobił?

Piąty podbródek przybył biskupowi Durham, co przyprawiło mu trudności z oddychaniem. Purpura spłynęła z twarzy, lecz zastąpiło ją zsinienie.

Marszałek de Lucy to otwierał usta, by coś powiedzieć, to je zagryzał.

- Znieważono tu króla Anglii - zaznaczył na wszelki wypadek hrabia Norfolk.

- Sam się znieważył, ten zagubiony w mitomanii wagabunda - oznajmił Wallace ku zgrozie posłów Edwarda - kiedy przybył tu dziś po swaty. Roztłuczemy za chwilę jego armię, a jego samego jeszcze przed nocą ożenimy z

najpiękniejszą owcą Szkocji w akcie miłosierdzia po celtycku.

Tym razem Mac Duff nie hamował już śmiechu. A że zdobiące go stalaktyty zatrzęsły się groteskowo, śmiech porwał wszystkich jego towarzyszy, w tym głupka Fearghasa.

Co nie przeszkadzało mu kontynuować upodobanych czynności.

- Warunki PRZYJMujemy - powtórzył lider Szkocji, patrząc na Anglików jakimś zmienionym, przesywającym jak zimny wiatr wzrokiem - tyle że CO NIECO ZMODYFIKOWANE.

- To znaczy? - wymamrotał marszałek de Lucy.

- Oto nasze warunki (aby armii Anglii nie dotknęła zagłada, a jej samej sromota i żarty na dworach Francji):

1. Król Edward złoży miecz i koronę u stóp obecnego tu dyplomaty Faerghasa, po czym odda mu tron Anglii jako dowód szczerych intencji i miłości swej do Szkotów. Po tym przyjmie na lat sześćdziesiąt służbę w klasztorze w Edynburgu, gdzie z trapek okrętowym do pleców przywiązany, będzie z radością szczerą oczyszczał sklepienia z pajęczyn, grzybów i hub. Po ukończeniu służby odzyska tron Anglii, Francji, Egiptu i Mezopotamii.

2. Wszyscy żołnierze wojska angielskiego zebrani pod Falkirk złożą broń, odzież, konie, a także dwutygodniowo nieustający ukłon królowi Anglii Fearghasowi, po czym wymaszerują do Walii, gdzie odbudują zniszczone przez angielską przestępczość miasta i wsie. Po tym będą mogli w pokoju wrócić do swoich domów.

3. Wszyscy dowódcy wojsk angielskich, irlandzkich i walijskich obecni pod Falkirk złożą swoje głowy pod topór jako obietnicę lojalności wobec mameluków syryjskich. Po tym będą mogli bezpiecznie odmaszerować do domu.

4. Londyn zostanie spacyfikowany, spalony, zburzony do piwnic i ukarany zarazą w postaci podrzuconych trędowatych z królestwa Francji. Po tym czasie na miejscu miasta zostaną założone sady daktylowe i figowe dla króla Faerghasa.

5. Wszystkie kobiety angielskie będą mogły umówić się z chłopcami Szkocji na noc pierwszą, drugą i każdą następną, bo po tej pierwszej nie będą miały wątpliwości, że to Szkoci są prawdziwymi mężczyznami, a nie angielskie pupputy w pończochach. Angielskie szlachcianki otrzymają obywatelstwo Szkocji, a krewne króla Edwarda odszkodowanie za nieszczęśliwe swe pochodzenie i klucze do sypialni Williama Wallace'a.

Lider Szkotów z powagą skinął głową.

- Przekażcie warunki królowi, my tymczasem rozejrzemy się za owcą godną jego pończoszniczego majestatu.

Panowała cisza, która pozwalała rozumieć niektóre okrzyki ze szkockiej i angielskiej strony. Posłowie Długonogiego byli całkiem powściągliwymi, doświadczonymi dyplomatai, lecz utrzymanie spokoju po słowach lidera Szkocji ujęło im zbyt wiele energii, jeśli zważyć, że bitwa była czymś nieuchronnym.

Ze ściśniętymi wargami i podbródkami (biskup), Anglicy powoli zawrócili konie, by odjechać na swoje pozycje.

Tylko marszałek de Lucy obrócił jeszcze głowę i złowróżbnie wydusił:

- Wszyscy dziś zginiecie na tym polu.

Wallace uśmiechnął się pobłaźliwie i zerknął na Fearghasa.

- Chyba odrzucono nasze warunki. Może ty zaproponujesz coś bardziej w guście Anglików?

Głupek wyprostował się i z marszem na czole, które pamiętało kilka ciosów młotem, rzucił za de Lucy'm:

1. Eyuiuii ęęeeu!

2. Yyyu iooooouyuuu!

3. Uiuuiui iuiuio uu. Uuu.

4. Aaa.

5. E. E. U. U. Ue.

- Nic lepszego już wam zaproponować nie mogę - oświadczył uczciwie Wallace.

Posłowie Anglii odjechali w wymownym pośpiechu.

- I co tam? - zapytał z ciekawością John „Rudy” Comyn, niechętnie odrywając ogon od twarzy.

- Nie przyjęli naszych warunków - wymruczał pogodnie William. - Chyba mają coś do mameluków syryjskich.

- Indochińczycy...

Chwilę później dyplomaci szkoccy znaleźli się znów w szeregach swoich wojsk.

- I co? I co? - dopytywali się żołnierze w podnieceniu. - Poddają się? Przepraszają?

- Będzie bitwa. Wszyscy są?

- Tak. Do domu odeszły tylko klany Abergzombich, Andruiterów, Balfroterów, Bannergranców, Bruceroydów, Flynnelloydów, Grunnbawaldów i MacKindergardenów.

- Hmm... OBELGOWI, WYSTĄP!

Sklonni do lżenia Szkoci wysunęli się wprzód. Po stronie angielskiej dało się zauważyć podobny ruch.

To był ostatni moment przed bitwą i wszystkim serca tłukły się w piersi jak te młoty, które kiedyś zmieniły Fearghasowi kształt twarzy.

- Ja zacznę! - podskoczył John Grahame z Dundalff.

Przybrało to nieco groteskowy wyraz, gdy cały jego najeżony pikami i włóczniami (wszystko to jakoś podejrzenie przypominało gałęzie) Jeż poskoczył odruchowo za nim.

Grahame wychylił naszrozoną twarz w kierunku nieprzyjaciół i uczyniwszy z brudnych od twarogu dłoni trąbkę, zagrzmiał:

- Dupczyki królewskie!

Donośny śmiech Szkotów gruchnął po okolicy, co świadczyło, że dowódca schiltronu dobrze zaczął.

Ze strony angielskiej dobiegły głucho przekleństwa, aż wreszcie także i wyraźna odpowiedź:

- Ślimaki z krowiego nosa!

Zaraz po tej zniewadze doleciał angielski śmiech.

Szkoci obrzucili się szybkimi, nieco nerwowymi spojrzzeniami.

- I co? I co?

- Mnie to nie obraża...

- Mnie też nie!

- He! Słabi są, zmęczeni marszem. Nasza kolej! Dawaj ktoś!

Tym razem przed szereg wystąpił konny szlachcic.

- Puppety-muppety zwerbowane na jarmarku!

Rozległy się gwizdy Anglików.

- Co tam? - zmarszczył brwi „Rudy” Comyn, zajmując właściwą pozycję na koniu.

- Ten dureń nas ośmieszył.

- Natłuc mu. Niech to wszystko... Nie jesteśmy w Indochinach. Oszukano mnie.

- Puppety-muppety! - rozkrzyczał się z fanatyzmem jeździec. Mimo że wymierzono mu karcący cios młotem w udo i wbito kolec dębowy w plecy, nie stracił zapału. - Puppety-muppety!

- To się rozejdzie - zmartwił się Mac Duff. - Irlandczycy nas wyśmieją. Przywalcie mu jeszcze raz.

- Pupp... - Szlachcica zdjęto z konia z dynamiką, która musiała mieć skutki uboczne.

Takie, jak cztery czy pięć złamań nóg.

Do tego w twarz wgnieciono mu dwudziestokilogramowy kamień, z którym podbiegło dwóch ochotników. Złość musiała być jednak spora - a może raczej troska o prestiż - bo skłuto jeszcze winowajcę tuzin razy mieczem i włócznią.

I przejechano koniem.

- W porządku? - nachylił się ku niemu Wallace.

- Tak, choć coś mnie pobolewa tu i ówdzie - wyznał ze skrucą szlachcic. - Wiem, że zasłużyłem. Nie mówcie żonie.

Ktoś mnie wsadzi na konia?

Nim zdołano uczynić zadość tej prośbie, dzielny, choć niezbyt utalentowany obelgowy umarł.

- Przywiązać go do konia - rozkazał wzruszony Wallace. - Poprowadzi szarżę na prawym skrzydle.

- Martwy? - wytrzeszczył oczy Mac Duff.

- Tak. Nie zawróci, choćby i demona zobaczył. Jego jazda zatem też nie.

Tymczasem po stronie Anglików, którzy nie przeoczyli kiksa wrogów, panował nastrój festynu. Rozniesiono sok malinowy i ciasto z gruszkami.

Ich obelgowy był gruby jak grusza właśnie i mocnym głosem zawołał:

- Kuciapki wysmyrane pod pledami!

Śmiech armii króla Edwarda był zaiste potężny. Sam władca podobno zaśmiał się pierwszy raz od urodzenia. Nim Szkoci ustalili, czy okrzyk w ogóle i jak bardzo ich obraził, fala angielskiego śmiechu zmieszała ich szyki do reszty. Cios był poważny.

Szef klanu MacKikuttbrittów pofatygował się do skonsternowanego Wallace'a, rzucił mu w twarz: „To mnie obraża. Bardzo.”, po czym natychmiast odmaszerował do domu z całym klanem.

- Czy on miał łzy w oczach? - chciał wiedzieć Mac Duff.

- Nie ma co, przywalili nam - przyznał lider, ignorując pytanie dowódcy schiltronu.

Wokół tłoczyli się Szkoci, rzucając na Williama niespokojne spojrzenia. Zwracał uwagę kandydat na króla Anglii, Fearghas, który pod wrażeniem obelgi angielskiej odzyskał zdolność czytelnej mowy.

- To mnie nie obraża. To mnie nie obraża - powtarzał z dziwnym chichotem. - Coś jest na rzeczy, mówię wam...

- W ucho mu - rozkazał zirytowany John Grahame, który miał kłopoty ze swoim schiltronem.

Takie, jak odejście do domu 68% stanu.

I tak Anglia straciła szansę na władcę rzadkiej charyzmy. Głupek wioskowy skończył jak... głupek wioskowy.

Ten czy inny.

Rozbito mu kolana, barki i miednicę, i odcięto twarz.

Ale przywiązano i do konia.

- Na lewą flankę go - rozkazał Wallace. - Połóżcie piki na ziemi. Poderwiecie je na mój okrzyk... w ostatnim

możliwym momencie, tuż przed łbami koni Edwarda.

Anglicy wciąż świętowali, oczekując riposty, gdy tymczasem dowódcy szkocky usilnie pracowali nad przywróceniem dyscypliny i szyku.

Był to spory problem, bo i wcześniej takowych za bardzo nie było.

Ostatecznie jednak, za cenę dwudziestu trupów przywiązanych do koni, awansowanych tym samym na niezłomnych oficerów i specjalistów od szarży, przywrócono przynajmniej głód walki.

Z wiarą w zwycięstwo było nieco gorzej. Dlatego do rzucenia obelgi mającej złamać Anglię wystąpił sam William Wallace.

Wystąpił bardzo demonstracyjnie, dobre dziesięć kroków do przodu.

Natychmiast nabożna cisza zapadła tak w wojsku szkockim, jak w angielskim.

- Załatw ich, Williamie – wyszeptał z przymkniętymi oczami Mac Duff.

- Rzuć ich na kolana – zacisnął pięści „Rudy” Comyn.

Wallace, syn Szkocji, popatrzył surowo na wrogów. I krzyknął tak, że ciarki przeszły przez twarze jego rodaków, marszcząc zaschniętą na nich farbę:

- FRANCUZI!!!

To był wstrząs. Anglicy płakali. Irlandczycy uciekali w kierunku Falkirk, Walijczycy szarpali się z Gaskończykami. Wielu jeźdźców spadło z koni i mimo prób ich pocieszenia, odmawiało powstania.

A Szkoci tańczyli w blasku słońca.

Wszyscy. Barwny rój kiltów.

Nawet klan MacKikuttbrittów, poruszony euforią, zawrócił i zajął ponownie pozycje.

Święto trwało długo. Okrzyk króla Edwarda, trzęsącego się w gniewie i upokorzeniu, ledwo przebił się przez ten zgiełk:

- AA... CZEEZ!

Wallace przestał pisać i rzucił szybkie spojrzenie ku liniom wroga.

- ŁUCZNICY! - zaalarmował. Ale ku zdumieniu towarzyszy nie schylił się pod osłoną tarczy – żadnej zresztą nie miał – tylko... odwrócił się tyłem do wroga.

- Uciekamy? - wymamrotał zdezorientowany „Rudy” Comyn.

- Nigdy – błysnął wilczym okiem bohater Szkotów. - Wszyscy umierają... Nie wszyscy żyją naprawdę. - Przez chwilę milczał, delektując się powszechną konfuzją rodaków, po czym wybuchnął gwałtownym śmiechem szaleńca. - Pokażmy im, jak bardzo boimy się angielskich strzał!

To krzyknąwszy, William Wallace wypiął się w stronę Anglii i jej króla, i zadął kilt.

Szczęśliwy amok natychmiast zatopił wszystkich Szkotów. Broń i tarcze legły porzucone z nonszalancją, by każdy swobodnie obnażył swój antyangielski tyłek.

Hałas był ogromny. Kolejne rozkazy Edwarda Długonogiego nie mogły już przebić się do uszu pogrążonych w euforii Celtów.

A szkoda.

Dopiero po dłuższej chwili Wallace zmarszczył brwi tknięty zdziwieniem, że oczekiwany deszcz tysięcy strzał jakoś nie spada z nieba.

Obrócił głowę i na jego twarzy wykwitła najgłębsza zgroza.

- PIKI!!! - wrzasnął rozdzierająco.

Bardzo rozdzierająco i przejmująco, i w ogóle dramatycznie.

Tyle - że za późno.

Nadbiegający Anglicy, całe ich rozebranych do n a g a tysiące, byli już zbyt blisko.

Zaprawdę zbyt blisko...

*

Tak wygląda prawda o Falkirk. Nie można się dziwić, że sprawę zatuszowano, zarówno strona szkocka, jak i angielska. Czy jednak nazwać to złośliwością losu, czy ironią historii, jest oczywistym, że to nie łucznicy króla Anglii sprawili klęskę Szkotom.

Zadecydowały o niej ich cechy narodowe: męstwo, radość życia i poczucie humoru.

Gregowi z klanu Mniejszych dedykowane. ;-)

Autor: hussair

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl